

GYMNOPAIDIA

Thera (Santorini) geologicznie składa się ze skały wulkanicznej i porcelany, w jej zatoce... pojawiły się i zatoneły wyspy. Była centrum starożytnej religii, gdzie wykonywano liryczne tańce o surowym i ciężkim rytmie nazwane „gymnopaidia”.

Przewodnik po Grecji

JORGOS SEFERIS

SANTORINI

Pochyl się jeśli zdołasz ku morzu mrocznemu niepomny
dźwięku fletu na nagich stopach
które zdeptały twój sen w innym życiu zatopionym.

Napisz jeśli zdołasz na swej ostatniej skorupce
dzień imię miejsce
i wrzuć ją do morza, by zatoneła.

Znaleźliśmy się nadzy na wulkanicznej skale
spoglądając na wynurzające się wyspy
spoglądając jak czerwone wyspy toną
w ich śnie, w naszym śnie.
Tutaj znaleźliśmy się nadzy trzymając
wagę przeważającą w stronę
nieprawości.

Pięta mocy, niezacieniona wola, wyrachowana miłość
w słońcu południa dojrzewające plany,
droga losu z uderzeniem młodej dłoni
w ramię;
w krainie roztrzaskanej, która nie wytrzymuje
w krainie, która niegdyś była nasza
toną wyspy – rdza i popiół.

Ołtarze zrujnowane
a przyjaciele zapomniani
liście daktylowca w błocie.

Pozwól dłoniom, jeśli zdołasz, by podróżowały
tutaj w niszy czasu statkiem
który dotknął horyzontu.
Gdy kostka do gry uderzyła o bruk
gdy włócznia uderzyła w pancerz
gdy oko poznało obcego
i wyschła miłość
w dziurawych duszach;
gdy spoglądasz wokół siebie i widzisz
krąg zżętych stóp
krąg martwych rąk
krąg zmroczniałych oczu;
gdy nie zostaje ci już nawet wybór
śmierci, jakiej pragnąłeś dla siebie,
słuchając wycia
nawet wycia wilka,
twoje prawo:
pozwól dłoniom, jeśli zdołasz, by podróżowały
oswobodź się od niewiernego czasu
i uton,
tonie kto podnosi wielkie kamienie.

JORGOS SEFERIS

MYKENY

Daj mi swe ręce, daj mi swe ręce,
daj mi swe ręce.

Ujrzałem wśród nocy
ostry wierzchołek góry
w oddali zobaczyłem równinę zatopioną
światłem niewidocznego księżyca
ujrzałem, odwracając głowę
stos czarnych kamieni
i moje życie napięte jak struna
początek i koniec
ostatnia chwila;
moje ręce.

Tonie kto podnosi wielkie kamienie;
te kamienie podnosiłem ile miałem sił
te kamienie kochałem ile miałem sił
te kamienie, mój los.
Zraniony własną ziemią
udręczony własną koszulą
skazany przez własnych bogów,
te kamienie.

Wiem, że nie wiedzą, ale ja
który tyle razy podążałem
drogą od mordercy do zabitego
od zabitego do zapłaty
i od zapłaty do innego mordu,
po omacku dotykając
niewyczerpaną purpurę
owego wieczoru powrotu
gdy z sykiem zbudziły się Erynie
na rzadkiej murawie –
widziałem węże splecione ze żmijami
uwikłane z przeklętym pokoleniem
nasz los.

Głosy z kamienia ze snu
głębsze tu, gdzie świat mrocznieje,
pamięć trudów zakorzeniona w rytmie
który uderzał w ziemię stopami
zapomnianymi.
Ciała zanurzone w fundamentach
innego świata, nagie. Oczy
wpatrzone, wpatrzone, w znak,
którego, choćbyś bardzo pragnął, nie dostrzegasz;
dusza tocząca walkę, by stać się twoją duszą.

Nawet cisza nie jest już twoja
tu gdzie stanęły młyńskie kamienie.

październik 1935